

# CHIŃSKI FENIKS

PARADOKSY WSCHODZĄCEGO MOCARSTWA



BOGDAN GÓRALCZYK







CHIŃSKI  
FENIKS



BOGDAN GÓRALCZYK

# CHIŃSKI FENIKS

PARADOKSY WSCHODZĄCEGO MOCARSTWA

Wydawnictwo Sprawy Polityczne

Warszawa 2010

Copyright © Bogdan Góralczyk, 2010  
Copyright © Wydawnictwo Sprawy Polityczne, 2010  
All rights reserved

Wydanie I

Warszawa 2010

Redakcja/korekta:  
Katarzyna Derdulska, Ewa Gorzaniak

Indeks nazwisk:  
Tomasz Pichór

Projekt graficzny i skład:  
Tomasz Walas  
[www.dtpowiec.pl](http://www.dtpowiec.pl)

ISBN: 978-83-929317-1-3

Wydawnictwo Sprawy Polityczne Sp. z o.o.  
ul. Karowa 31 A  
00-324 Warszawa

Nasze książki zamówić można na stronie:  
[www.sprawypolityczne.pl](http://www.sprawypolityczne.pl)  
Opłata za książkę następuje przy odbiorze.  
Koszty przesyłki pokrywa wydawnictwo.

*Chodzi o wielce złożony paradoks. Chiny to kraj zarazem nowoczesny i starożytny, komunistyczny i kapitalistyczny, bogaty i biedny, reformujący się i opierający się reformom, jednolity i zróżnicowany, represyjny i wolnomyślicielski, konserwatywny i rewizjonistyczny, pasywny i agresywny, mocny i słaby.*

(z raportu specjalnej Grupy Zadaniowej  
Rady Stosunków Międzynarodowych  
Council of Foreign Relations, Nowy Jork 2007)



## SPIS TREŚCI

<b>ZAPROSZENIE DO CHIŃSKICH ZMAGAŃ</b>	<b>11</b>
<b>CZEŚĆ I – HEREZJE</b>	<b>19</b>
1. Czy Chiny są komunistyczne?	21
2. Czy Chiny są kapitalistyczne?	53
3. Czy Chiny są państwem prawa?	87
<b>CZEŚĆ II – WYZWANIA</b>	<b>113</b>
1. Reformy polityczne – jakie i kiedy?	115
2. Niepokoje na rubieżach	147
3. Nowoczesny kolonizator?	177
4. Ekologiczna bomba	209
<b>CZEŚĆ III – WIELKIE PYTANIA</b>	<b>239</b>
1. Harmonijne państwo?	241
2. Zjednoczeni z Tajwanem?	275
3. Czy Chiny będą nowym mocarstwem?	309
<b>BIBLIOGRAFIA</b>	<b>345</b>
<b>INDEKS NAZWISK</b>	<b>359</b>



# ZAPROSZENIE DO CHIŃSKICH ZMAGAŃ

Chiny zawsze przyciągały przybyszy z zewnątrz, intrygowały odmiennością języka, kultury, zwyczajów, wartości. Zawsze był to świat inny, odrębny, samoistny, a zarazem bogaty, zasobny w materialne i duchowe treści emanujące na zewnątrz. Archeologowie dowodzą, że Chińczycy znikąd nie napłynęli, zawsze byli tu, gdzie są. W dorzeczu *Huang he* – Żółtej Rzeki – stworzyli własną, unikatową cywilizację, pretendującą do miana centrum świata, co tak zgrabnie ujęto w nazwie tego organizmu – Państwo Środka (*Zhongguo*).

W ostatnich ponad trzech dekadach ta starożytna jeszcze cywilizacja, jedyna taka na globie, której udało się zachować ciągłość, przechodzi przez niespotykane w jej długich dziejach zmiany i przeobrażenia. Tak argumentują autorzy chińscy i tak coraz częściej, choć jeszcze nie u nas, zaczynają postrzegać ten kraj obcokrajowcy – dostrzegając w Chinach głęboką i bezprecedensową transformację praktycznie wszystkich dziedzin i sfer życia. Obserwując ten kraj z bliska odnosi się wrażenie, że za jednym zamachem dokonuje się tam skoku z feudalizmu do epoki postindustrialnej, od instytucji i form przestarzałych lub przebrzmiałych do nowoczesności, a nawet ponowoczesności, że ortodoksyjny dotychczas komunizm dopasowuje się tam do wyzwań globalizmu, a własny, dotychczas zamknięty świat otwiera się na zewnątrz jak nigdy dotąd. Kiedyś, w latach 1958–1960, Chiny krzyczały o „wielkim skoku”. Wygląda na to, że dokonują tego skoku właśnie teraz.

Przez setki lat Chiny trwały w miejscu, zawsze będąc na czele. Potem – w drugiej połowie XIX wieku, za czasów tzw. wojen opiumowych – brutalnie zostały wyrwane z marazmu, przez zachodni imperializm i kolonializm w którym się pogrążyły. Natomiast w XX stuleciu przyszło im doświadczyć najpierw krwawych wojen domowych i rozprzężenia, a potem eksperymentu komunistycznego. Ten ostatni najbardziej dokuczył państwu latach 1958–1976, gdy występował w skrajnej, lewackiej wersji. To wtedy wyniesiono na sztandary hasła mówiące o światowej, permanentnej rewolucji i walce klas. To wtedy liczyła się nade wszystko ideologiczna wiara i polityczny ferwor, podczas gdy w sensie gospodarczym królowały autarkia i izolacja. Zdarzyło się nawet coś gorszego: po „wielkim skoku” zapanował w kraju głód, pociągając za sobą miliony ofiar, a podczas „rewolucji kulturalnej” uderzono w tradycyjną kulturę, tak w wymiarze materialnym, jak mentalnym, powodując spustoszenie. Ważniejsze było jeszcze coś innego: wszędzie, także we własnych szeregach (często nawet od nich zaczynając), szukano wrogów, wyrotowców i odszczepieńców od jedynej, słusznej linii, jednoznacznie kojarzonej z imieniem Przewodniczącego Mao Zedonga. Był on co prawda komunistycznym wodzem i ideologiem, ale nade wszystko autokratą, występującym i działającym w aureoli jak najbardziej cesarskiej.

Nowoczesność w „epoce Mao” (1949–1976) najwyraźniej nie była jeszcze Państwu Środka pisana. Komunistyczny kraj był jednak dumny z tego – i za to czci Mao do dziś – że wódz skończył z poprzednią „zawieruchą” (*luan*) konfliktów wewnętrznych. Państwo zjednoczyło się i „stało na własnych nogach”, jak twierdził sam Mao w proklamacji o utworzeniu Chińskiej Republiki Ludowej (ChRL). Chiny, teraz już komunistyczne, znowu były wielkie i dumne z siebie, ale zarazem – wbrew oficjalnie głoszonym hasłom i programom – dość tradycyjne, patriarchalne, zacofane, no i przede wszystkim biedne. Owszem, wzrost gospodarczy notowano, ale to nie on był w ówczesnych realiach najważniejszy. Jak dawniej, za cesarzy, nadal panował w Chinach przykładowy totalizm, wymieszany z atmosferą utopii i absurdu, tak dobrze ujętych w dziełach

czy to uniwersalnego George'a Orwella, czy specjalizującego się w (ówczesnych) Chinach Simona Leysa.

Komunistyczna utopia skończyła się w drugiej połowie lat 70. minionego stulecia, po tym, jak do akcji włączył się inny komunistyczny gigant (choć małego wzrostu, liczył zaledwie 155 cm), wizjoner i strateg Deng Xiaoping. Ciężko doświadczony w poprzednich dziesięcioleciach, trzykrotnie odsuwany od władzy, zawsze do niej wracał. Podobnie jak w długich dziejach jego kraj, upadał i podnosił się, niczym feniks. Największą rolę przyszło mu odegrać u schyłku życia, gdy był już po siedemdziesiątce. Deng zaproponował wtedy państwu i jego obywatelom zupełnie inną koncepcję przyszłości niż ta, którą proponowali jego poprzednicy, choć sam wywodził się z ich szeregów. Kazał politykę zastąpić gospodarką, walkę klasową wzrostem gospodarczym, obywatelom powiedział „bogaćcie się”, a poprzednią autarkię i izolację zastąpił perspektywą *kaifang* – (bezprecedensowego) otwarcia na świat, na jego rynki, idee, koncepcje i kapitały.

Oczywiście, on też demokratą nie był. Na głośnej swego czasu „ścianie demokracji”, u samego zarania reform, pojawiły się wywrotowe – w oczach władz – hasła. Jej najgłośniejszy bohater – Wei Jingsheng – zaproponował dodanie do oficjalnego programu „czterech modernizacji”, stanowiących niejako testament byłego pragmatycznego premiera Zhou Enlaia i obejmujących reformy rolnictwa, przemysłu, obrony narodowej oraz nauki i oświaty, piątej modernizacji – „demokratyzacji”. Deng nie tylko propozycji nie przyjął, lecz Weia uwięził, a Chinom natychmiast narzucił swego rodzaju chomąto w postaci „czterech podstawowych zasad”. Nakazywały one – i nakazują do dziś – obywatelom ChRL trzymanie się socjalizmu i rządzącej Komunistycznej Partii Chin (KPCh). W gospodarce miała zapanować dynamika, wolność i rynek, w polityce pozostała dyktatura i skostniałe formy.

Jakie były motywacje Deng Xiaopinga i stojących obok niego tzw. pragmatyków? Dlaczego zmieniono azymuty i co za tą zmianą stało, to jeden z motywów przewodnich tej książki. Czemu reformy chińskie prowadzone są odgórnie, a na ruchy oddolne patrzy się

podejrzliwie, a nawet ich zakazuje? Jest pewne, że to dzięki cywilnej odwadze i strategicznej wizji Denga wtedy już miliardowy naród chiński „ruszył z posad” – i to w tempie zaskakującym nawet tych, którzy program reform zainicjowali. Dotychczasową stagnację zastąpiła bezprzykładna dynamika. W efekcie Chiny sprzed trzydziestu lat nie są tożsame z Chinami sprzed dwudziestu lat, a te sprzed dekady z dzisiejszymi. Naród chiński trwa w tym swoistym biegu, a może nowym „długim marszu”, aż do dziś, a końca tego maratonu na razie nie widać.

O tym, jak Chińczycy kroczą nową drogą, traktuje ta książka. Jest ona trochę osobista, bo podszyta własnym doświadczeniem. Pierwszy raz wyjechałem do Chin w roku 1976, właśnie wtedy, gdy odchodził Mao i jego epoka. Potem tam studiowałem, zdobyłem dyplom sinologa, jeździłem do Państwa Środka wielokrotnie, ostatnio – w okresie 2002–2008 – będąc tam, w różnych regionach i prowincjach tego kontynentu-olbrzymia, aż sześciokrotnie. Materiał tu zawarty to ponad trzydzieści lat własnych zmagania z Chinami, podróży do ich różnych obszarów i zakątków, lektur, dyskusji i debat zarówno z mieszkańcami, jak też z ekspertami zajmującymi się Chinami. Przedstawiony tu tekst powstał w oparciu o dość bogate zaplecze zdobytych nauk, żmudnych studiów, interesujących lektur, przemyśleń, porównań, zestawień, oglądanych widoków, osobistych przeżyć i doświadczeń, co chyba warto na wstępie wyeksponować i podkreślić.

Oczywiście, osobiste doświadczenie jeszcze o niczym nie przesądza. W starciu ze skomplikowaną chińską materią, z ogromem tego kontynentu-kolosa, teraz błyskawicznie się zmieniającego, każdy może się mylić. Od dawna istnieje bowiem takie oto przekonanie: kto w Chinach był tydzień, pisze książkę, kto miesiąc – artykuł, a kto rok, nie pisze już nic, bo się w tamtejszych realiach albo pogubił, albo – co częstsze – ma już tyle sprzecznych sygnałów i wątpliwości, że woli nie podejmować ryzyka. Sięgnięcie po „chińskie wyzwanie” zawsze jest pewnego rodzaju aktem odwagi.

Ponadto jest dokładnie tak, jak napisał francuski liberał, znany i u nas Guy Sorman: „W gruncie rzeczy eksperci zajmujący się Chinami są wierzący albo niewierzący. Ci pierwsi zapewniają, że będzie

coraz lepiej, drudzy natomiast twierdzą, że tak naprawdę nic się nie zmienia. Jedni i drudzy – ci, którzy wierzą w Chiny, i ci, którzy nie wierzą – dysponują tymi samymi, cząstkowymi oraz niesprawdzonymi informacjami i ograniczają się do podkolorowania ich na różowo albo na czarno”. Ponieważ liberalny Sorman zdecydowanie w Chiny nie wierzy, maluje ich obraz niemal całkowicie na czarno. Obawiam się jednak, że francuski autor nie tylko Chin nie rozumie, choć je wnikliwie opisuje, ile kieruje się własnym zapatrywaniem: chciałby widzieć Chiny takie, jakie on sobie wymarzył, tzn. bliskie zachodnim ideałom, a te za diabła takie być nie chcą. No i co z tym fantem zrobić? – Oczerniać, dochodzą do wniosku niektórzy; wychwalać pod niebiosa, bo przeczą temu, co u nas – podpowiadają inni. I jedni, i drudzy są w błędzie. Należałoby przede wszystkim próbować Chiny zrozumieć, spojrzeć na Państwo Środka od wewnątrz, z głębszym zrozumieniem i pewną empatią dla tamtejszych ludzi i procesów. Nie koloryzować i nie epatować – oto jest wyzwanie! Być może w wykonaniu przedstawiciela Zachodu, jakkolwiek go nie rozumieć, nie jest to w ogóle możliwe? Jednak, jak powiadali Rosjanie: „próbować trzeba”.

Przyjąłem na tych stronicach formułę eseju; wygodną, bo osobistą, ale też niejako konieczną. Treści tutaj proponowane są bowiem niczym innym, jak własną, indywidualną próbą opisu pewnych zjawisk i procesów znajdujących się *in statu nascendi*. Treść tej książki traktuje o kwestiach i stanach nowych, rodzących się, przepoczwarczających, zmieniających jak w kalejdoskopie. Tylko ktoś, kto dobrze Chiny dzisiejsze zna, bez wahania stwierdzi, iż nie ma tam jednej obowiązującej na wszystko prawdy, jak było w epoce Mao, że wszystko jest w ruchu, pewnym jakby rozedrganiu, w okresie przejścia, przeobrażeń i transformacji. Nawet autorzy chińscy, wbrew naszym o nich stereotypom, kłócą się i sprzecają niemal na każdy temat, dowodząc tym samym, iż nie ma w kwestii dzisiejszych, tak dynamicznie się rozwijających i szybko przekształcających Chin, jednej ogólnie przyjętej formuły czy zasady. Nie było i nie ma także jednej teorii czy strategii reform. Zmieniała się ona wraz z tym, jak zmieniały się Chiny. Nikt u progu reform otwarcie nie zarysował

przyszłości kraju, chociaż Deng Xiaoping wyznaczył przynajmniej cele i azymuty: dać Chinom poczucie własnej wartości, zmodernizować je, unowocześnić i tym samym zapewnić im status odpowiedni do ich potencjału (czytaj: światowego mocarstwa).

Paradoks polega na tym, że nie inne cele miał Mao Zedong, przejmując władzę. Ponieważ metody przez niego zastosowane nie sprawdziły się, a w wielu dziedzinach wręcz skompromitowały, Deng, jakby nie było bliski współpracownik Mao przez dziesiątki lat, spróbował innych rozwiązań. Zaordynował zupełnie inne podejście. Patrzył szerzej, nie tylko na Chiny. A poza Chinami dostrzegł nowoczesność. Ponieważ w latach „rewolucji kulturalnej” zapędzono go na głęboką prowincję, z autopsji doskonale wiedział, jak zacofana jest chińska wieś, a i w miastach przecież nie było o wiele lepiej. Toteż, jako przekonany praktyk i pragmatyk, a nie teoretyk czy ideolog; jako osoba, która wkroczyła do światowych annałów powiedzeniem „nieważne, czy kot jest biały, czy czarny, ważne, żeby łowił myszy”, musiał w pewnej chwili zapytać: dlaczego Chińczycy na Tajwanie, w Hongkongu czy Singapurze są bogaci i nowocześni, a Chińczycy w ChRL siermiężni i biedni jak myszy kościelne? Gdy zapytał, a z różnych źródeł wiemy, że to zrobił, zaproponował państwu strategiczny zwrot i przewrót.

Z racji tego, że końca tej drogi jeszcze nie znamy, nie spieszymy się z ferowaniem wyroków. Mądre powiedzenie chińskie podpowiada: Nie wypowiadaj się i nie forsuj wyroków na temat tych, co żyją. Czemu? – Ponieważ żyją, a więc zawsze jeszcze mają szansę popełnić błędy... Tak samo jest z chińskim procesem reform. On także jeszcze „żyje”, właśnie zdaje się być w pełnym rozkwicie. Być może, kto wie, ostateczne oceny będą wydawały dopiero następne pokolenia. Co nie znaczy wcale, że pewnych, wstępnych ocen nie możemy dokonywać już dziś.

Ponieważ mieliśmy i mamy do czynienia w dzisiejszych Chinach z niezliczoną wprost liczbą niewiadomych, dlatego też tezy stawiane w tej książce nie pretendują, bo nie mogą pretendować, do miana jedynie słusznych prawd, jako że takich – w moim głębokim przekonaniu – po prostu nie ma. Zamiast głosić cokolwiek *ex cathedra*,

będę się starał tutaj obecne Chiny i dokonujące się w nich zmiany przedstawić jak najwnikliwiej, podać fakty, postawić pytania, zastanowić, co może być dalej. Bo przecież tak niebywałe zmiany w najludniejszym obecnie państwie świata, liczącym ponad 1 350 mln mieszkańców, muszą pociągnąć za sobą, właściwie już pociągają, zmiany w wymiarze globalnym. I o tym także traktuje ta książka; o tym, jakie mogą być konsekwencje chińskich zmian dla nas i dla całego świata, nie tylko dla Chińczyków.

Wybrałem do rozważań tylko kilka zagadnień, w mojej ocenie najważniejszych. Pytam o system polityczny, o charakter rynkowych zmian, o koszty ekologiczne i społeczne tych zmian. Nie pytam na przykład, choć sam doskonale wiem, jak ważne to zagadnienia, o to, jakie są psychologiczne koszty przeobrażeń, co niesie ze sobą przyspieszona urbanizacja i technologizacja, a nawet internetyzacja życia; jak Chińczycy w tym wszystkim, co wokół nich się teraz dzieje, odnajdują się – i czy odnajdują się w ogóle. Nie piszę też o tak ważnych sprawach, jak chińskie zbrojenia czy tamtejszy program kosmiczny. Innymi słowy – sporo tu braków, co łatwo wytknąć. Nie o to jednak chodzi. Inny jest cel. Pytam jedynie o sprawy strategiczne, o kwestie najważniejsze, drążę to, co i mnie drąży, gdy obserwuję Chiny z bliska. Niektóre z tych pytań są drażliwe i delikatne w Chinach, niektóre są z kolei drażliwe poza nimi. Nie obawiam się o to i – może zbyt śmiało? – pytam: czy Chiny wyrosną na nowe supermocarstwo? Czy, sięgając po ten status, połączą się z Tajwanem? Jak będą się z tym nowym statusem zachowywały na arenie międzynarodowej i jak zachowują się na niej teraz, w okresie wewnętrznej tranzycji i przejścia? Co chiński program reform przyniesie Chińczykom i światu? Czy rzeczywiście w ostatnich może nie tyle trzech, co dwóch dekadach, począwszy od 1992 r., udało im się wypracować nowy, alternatywny wobec zachodniego paradygmatu rozwojowy? No, a przede wszystkim – czy cały ten niebywały eksperyment się powiedzie?

Tak, więcej tutaj pytań niż jasnych, klarownych odpowiedzi; więcej dociekań i przypuszczeń niż wskazówek i azymutów; więcej zmagania i poszukiwań niż triumfalnego ogłaszania znalezisk. Za-

praszam do tych zmagania, zapraszam do zapoznania się z dzisiejszymi Chinami – oczywiście w mojej wersji, bo może też być inna, i nawet – kto wie – okazać się dość daleka od tej, jaką tutaj zaprezentowano. Albowiem jedna z ogólnie przyjętych „prawd” w kręgach sinologicznych mówi: Chiny to na tyle wielki i skomplikowany kraj (czytaj: świat sam w sobie), że można na ich obszarze udowodnić praktycznie każdą tezę. Pogląd ten ukuto już dość dawno. Wygląda na to, że dzisiaj jest on bardziej aktualny niż kiedykolwiek przedtem. Jedni twierdzą, że Chiny są nazbyt liberalne, drudzy, wprost przeciwnie, że nazbyt interwencjonistyczne. Jedni mówią z pełnym przekonaniem, że są komunistyczne, drudzy z nie mniejszą werwą twierdzą, że są kapitalistyczne. Przechabawne, że zazwyczaj obie strony sporu mają sporo racji. Chyba więc przyjdzie nam się pogodzić z takim stanem rzeczy, kiedy to jedni widzą w obecnych Chinach rozkoszną pandę, drudzy podziwiają wyniosłego feniksa, a jeszcze inni są przestraszeni, bo traktują je niczym groźnego, krwiożerczego smoka (to ostatnie spojrzenie zdaje się dominować u nas).

Proszę o tym pamiętać, czytając te strony. Chiny, ich rozmiar i stopień skomplikowania uczą pokory, relatywizmu, synkretyzmu pojęć i znaczeń. To dobra szkoła, bo inna od u nas ostatnio obowiązujących. My chętnie byśmy swoje poglądy, wartości i przekonania narzucali, Chińczycy przypominają nam o tym, nie pierwszy raz w swych długich dziejach, że prawda raz przez kogoś przyjęta wcale nie musi być uniwersalna, a na każdą kwestię, tym bardziej tę skomplikowaną, można, a chyba nawet należy, patrzeć z różnych stron. Raz jeszcze zapraszam do zmagania z Chinami...

CZĘŚĆ PIERWSZA:

# HEREZJE



## 1. Czy Chiny są komunistyczne?

*Da zhe „hongqi” fan hongqi*

(Niosąc „czerwony sztandar”, zwalczać czerwony sztandar)

Jedna ze strategicznych maksym chińskich komunistów



Portret Mao Zedonga wisi na bramie Tiananmen, w samym sercu stolicy Chin, a jego pomniki rozsiane są po całym kraju – najczęściej z uniesionym ramieniem, w geście wodza pozdrawiającego naród; w takiej samej pozie, w jakiej pozdrawiał niegdyś Czerwonogwardzistów. Kult Mao widać w sklepach z pamiątkami, księgarniach, a nawet nowoczesnych centrach handlowych. Były wódz stał się postacią z chińskiego folkloru, niczym mitologiczny Żółty Cesarz czy bohaterowie z epopei Trzech Królestw (220–265 r. n.e.), zaciekle walczący ze sobą mieczem i podstępem, do dziś zasiedlający masową chińską wyobraźnię i narodową pamięć. Mao, za młodu buntownik, podstępny gracz, a zarazem rewolucjonista, nadal jest w Chinach wszechobecny, choć zmarł już tyle lat temu. A krajem nadal rządzi Komunistyczna Partia Chin (KPCh). Nad czym tu się zastanawiać? Chiny są komunistyczne, a może nawet maoistowskie. Wielu tak uważa. Dla nich – nie ma żadnych znaków zapytania. Mylą się czy nie? Wygląda na to, że również w Chinach diabeł tkwi w szczegółach. Przyjrzyjmy im się bliżej.

Oficjalną ideologią państwa o nazwie Chińska Republika Ludowa (ChRL) pozostają „idee marksizmu-leninizmu oraz myśli Mao Zedonga”. Obowiązującą do dzisiaj ideologiczną klatkę narzucił, jeszcze w końcówce lat 70. minionego stulecia, „ojciec chińskich reform”, Deng Xiaoping. Przybrała ona formę wspomnianych już na wstępie tzw. „czterech podstawowych zasad” mówiących o tym, że każdy obywatel chiński, nie wspominając już o członkach partii (tych jest ok. 73 mln w liczącym, powtórzmy, 1 350 mln obywateli państwie) musi: trzymać się socjalistycznej drogi; przestrzegać dyktatury proletariatu oraz kierowniczej roli partii komunistycznej i zasad marksizmu-leninizmu oraz myśli Mao Zedonga. Patrząc z chińskiej oficjalnej perspektywy, pytanie – jak w tytule – również nie ma sensu. Chiny są komunistyczne. A podważanie tej tezy to herezja.

### **Czynił dobrze, popełniał błędy**

Główne nurty marksizmu, jak wiadomo, najwnikliwiej zbadał Leszek Kołakowski. Zwrócił on uwagę, że „nie ma prawie kwestii

odnoszącej się do interpretacji marksizmu, która nie byłaby przedmiotem sporu”. Innymi słowy: marksizm (i leninizm, lub oba naraz) można czytać i interpretować na wiele sposobów. To bardzo celna uwaga, mimo że Kołakowski – jak wiadomo – chińskiego komunizmu nie analizował, czyniąc tylko na zakończenie swego dzieła nieco uwag na temat „chińskiego chłopskiego marksizmu Mao Zedonga”. Podkreślił tam, że maoizm, o którego filozoficznej wartości nie był wysokiego zdania, zwany w Chinach powszechnie „myśłami Mao”, „jest tworem ideologicznym, który formował się przez kilkadziesiąt lat”. Oznacza to, że na różnych etapach dziejów „myśli Mao” wyglądały nieco inaczej, a cały system ulegał ciągłym zmianom. Zmieniał się Mao, zmieniały się jego myśli. Według jednego z jego biografów, profesora Harvardu Rossa Terrilla: „Kariera Mao ewoluowała: od wyznawania uniwersalnego indywidualizmu (w młodości), poprzez fazę wiary w postęp proletariatu (wczesne lata 20.), rewoltę chłopską (późne lata 20.) ku komunizmowi wojennemu (w Yan’anie), budownictwu socjalistycznemu (lata 50.), rozczarowaniu rezultatami socjalizmu (od późnych lat 50.), popospolitość filozoficzną i moralną (lata 60.) i końcowy powrót do wysoce subiektywnego indywidualizmu (lata 70.)”.

„Myśli Mao” nie były – i nadal nie są – ideologią stałą w swych założeniach i interpretacjach, chociaż okazały się być trwale w swym oddziaływaniu. Była to zarazem ideologia eklektyczna – bardziej chińska aniżeli *stricte* marksistowska. Przypominały one w większym stopniu heretycki konfucjanizm niż czysty marksizm-leninizm, jako że Mao dobrze znał klasyków chińskich, a znacznie mniej komunistycznych. Nawet mu udowodniono, że częściej cytował chińskich mędrców i autorów z przeszłości aniżeli twórców marksizmu (najchętniej zresztą Stalina), co zresztą wcale nie dziwi u osoby, która nie znała żadnego obcego języka. Można pokusić się o tezę: Mao był bardziej „swojski” niż marksistowski. Jak to ujął cytowany już wyżej Ross Terrill: „Mao nie był ortodoksyjnym marksistą. Z czasem można było go postrzegać jako populistycznego dyktatora, którego myśli zawierały w sobie różne elementy anarchizmu, konfucjanizmu, marksizmu i faszyzmu”. Nie powiem, całkiem ładny sztafaż.

Bodaj najbardziej wnikliwy zachodni badacz „myśli Mao” – Stuart Schram – ujął to jeszcze inaczej: „Przewodniczący Mao jako lider uważał się za upoważnionego przez historię do misji nauczania chińskiego narodu i prowadzenia go ku komunizmowi. Przez całą swą karierę, od gór Qinganshan (gdzie rozpoczął swą rewolucyjną działalność), po Yan’an (gdzie narzucił swój kult), aż po lata 60., Mao Zedong traktował demokrację i centralizm jako dwa nierozłącznie powiązane ze sobą elementy procesu politycznego, a żaden spośród nich nie mógł być odseparowany jeden od drugiego. W latach „rewolucji kulturalnej” (1966–1976) narodziły się dwie odrębne koncepcje. Demokracja została zastąpiona przez „rebelię”, a centralizm przez *zhong*, czyli osobistą lojalność wobec wielkiego lidera i sternika”.

Dzisiejsze władze chińskie, począwszy od ich ojca duchowego Deng Xiaopinga, największy kłopot miały właśnie z „późnym Mao”, tym z lat tzw. lewackiego odchylenia, tzn. z okresu „wielkiego skoku” (1958–1960) oraz „rewolucji kulturalnej”. Kraj popadł, jak to się powszechnie głosi, w „lewackie odchylenie”. W oficjalnej wykładni, jaką stanowi „Rezolucja o historii KPCh” z 1981 roku zarzucono mu, że „zadał największy, sięgający najgłębiej cios, jakim było zainicjowanie «rewolucji kulturalnej», która była wielkim nieszczęściem dla partii i narodu”. Później ujmowano to tak: Mao w 70 proc. czynił dobrze, a w 30 proc. popełniał błędy. Naturalnie, szczególnie w końcówce swego życia.

Ta oficjalna wykładnia obowiązuje do dziś. Wiedza na temat Mao, jaką obecnie posiadamy, znacząco ją podważa. Po rewelacjach, znanych i w Polsce, najpierw dr. Li Zhisui, osobistego lekarza Mao, a następnie dewastującej w swej wymowie jego biografii pióra Jung Chang i Jona Hallidaya wiemy, że tych „błędów i wypaczeń” Mao znalazłoby się o wiele więcej zarówno w jego życiu osobistym, jak też publicznym i politycznym. Był to tyran i wschodni despota, jakich mało. W istocie przez kilka dekad rządził on komunistycznymi z nazwy Chinami jak starożytny cesarz i zarządzał nimi jak własnym folwarkiem. Nie mylili się *hunwejbini* wymachujący „Czerwonymi księżeczkami”, czyli cytatnikiem z jego dzieł stanowiącym wówczas katechizm, widząc

w nim „czerwone słońeczko”, czyli źródło inspiracji, wiary oraz – co chyba najważniejsze – źródło niebywałej siły. Nie był to jednak wódz o kryształowym zyciorysie, a mimo tego dla Chińczyków, także wiedzących już teraz coraz więcej, pozostaje on nadal ważnym punktem odniesienia. Wygląda na to, że chociaż w oczach wielu był zbrodniarzem, wszedł już do chińskiego kanonu, zajął miejsce w tamtejszym panteonie. Obawiam się, że nikt go stamtąd nie wyrzuci.

Sam byłem świadkiem przezabawnego wydarzenia. Oto gromada sprzedawców-domokrąźców obległa grupę Amerykanów wysiadających z autokaru. Czasu mało, okazja niepowtarzalna. Poszło w ruch wszystko, co było na podorędziu: stare monety, rękodzieło, tkaniny, starodruki, porcelana, kopie chińskiego tradycyjnego malarstwa. Handel nie szedł jednak dobrze. Turyści okazali się dość oporni i odporni na zakłęcia sprzedawców. Wtedy jeden z handlarzy, oferując porcelanowe statuetki Mao, zdesperowany brakiem powodzenia, łamaną angielszczyzną krzyknął: – Kupuj Pan podobiznę Przewodniczącego Mao. Prawdziwa, z epoki Ming...

Tak oto Mao trafił do historycznego dziedzictwa narodu, stał się cenionym „antykiem”. W społeczno-obyczajowym wymiarze ten dzisiejszy, powierzchowny kult Mao przybiera formy bazarowo-odpustowe. Różni się on zasadniczo od kultu poprzednio obowiązującego, opartego na ideologicznym ferworze i strachu. „Myśli Mao” pozostają oficjalną ideologią państwową, ale bardziej jako obowiązująca mantra do mechanicznego powtarzania aniżeli konieczność stosowania jej zapisów w życiu codziennym. „Idee Mao” – nadal – celebrytuje partia, nie uchylając się przy tym przed kłamstwem i niedomówieniami, naród jednak coraz częściej chodzi własnymi ścieżkami. To dwa niekoniecznie przystające do siebie światy. Mamy więc do czynienia z sytuacją nie do pomyślenia w klasycznym, nieznanym sprzeciwu, alternatyw i odmiennych dróg marksizmie-leninizmie-maoizmie.

Zarówno Mao, jak i maoizm, stają się powoli historycznymi symbolami, którymi operuje się stosownie do bieżących potrzeb. Bierze się to, co wygodne. A ponieważ spuścizna po Mao jest duża, jest z czego czerpać. Jak można przewidywać, dalsze losy Mao i ma-

oizmu będą zależały od tego, co się z Chinami stanie. Czy obecne reformy powiodą się i nadal na ich czele będzie stała KPCh, czy też dojdzie do jakiegoś – teraz nieprzewidywanego – załamania? W przypadku pierwszego, aktualnie bardziej prawdopodobnego scenariusza, jest pewne, że Mao, już oddzielony od marksizmu i starannie odseparowany od codzienności, pozostanie symbolem „ojca-założyciela” Chin nie tyle komunistycznych (bo ideologie mogą się zmieniać), co Chin samodzielnych i suwerennych (bo Chiny mają być jedne i wielkie). Ponieważ samo pojęcie komunizmu, o czym będzie tu jeszcze mowa nie raz, traci swój pierwotny wymiar, Mao – co bardziej prawdopodobne – może zamienić się w model przywódcy, który odbudował chińską jedność i nadał państwu należny prestiż i rangę na arenie międzynarodowej, jak też w wymiarze historycznym. I tak oto Przewodniczący nie tyle będzie źródłem marksizmu, ile chińskiego nacjonalizmu, a to już przecież zupełnie inna bajka.

### **„Socjalistyczna gospodarka rynkowa”**

Mao Zedong narzucił Chinom swoją wolę, osobowość oraz komunistyczną utopię i wiarę. Do dziś Państwo Środka nie może się od nich uwolnić. Do chińskich realiów jeszcze bardziej niż gdziekolwiek indziej przystają słowa innego naszego znakomitego analityka marksizmu, Andrzeja Walickiego, który w swym wybitnym dziele *Marksizm i skok do królestwa wolności* napisał o klasykach tego nurtu: „Niezależnie od intencji Marksa i Engelsa, ich komunistyczna utopia stała się źródłem najpotężniejszej i najbardziej niebezpiecznej świeckiej wiary czasów nowożytnych. Wiara ta jest dziś martwa (przynajmniej w zasięgu kultury europejskiej), ale konsekwencje jej wciąż nam towarzyszą”. Czy chińska wiara w komunizm-maoizm też już jest martwa? Czy komunizm w Chinach nadal żyje, czy jest tam tylko i wyłącznie celebrowany?

Spróbujmy dokonać wiwisekcji tego problemu, posługując się teorią najwybitniejszego bodaj znawcy komunizmu i „realnego so-

cializmu” w jego nie tyle ideowym, filozoficznym czy światopoglądowym wydaniu (tu i Kołakowski, i Wałicki są niezbędnymi), lecz w jego faktycznym działaniu i funkcjonowaniu. Teorię tę sformułował węgierski ekonomista János Kornai. Wypracował on model, zgodnie z którym partie marksistowsko-leninowskie, w tym maoistowska KPCh, działały w oparciu o pięć bloków przyczynowo-skutkowych, w ramach których można znaleźć elementy czysto gospodarcze, wymieszane z – ważniejszymi z punktu widzenia funkcjonowania i trwania systemu – czynnikami politycznymi i ideologicznymi. Poczynając od pomniejszych do najważniejszych, poustawiane przez Kornaiego „bloki” przedstawiają się następująco: wymuszony wzrost, gospodarka niedoboru, stały deficyt pracy i ukryte bezrobocie, specyficzna rola handlu zagranicznego (w Chinach powiedzieliśmy – autarkii); planowanie gospodarcze, zła jakość, paternalizm, słabe oddziaływanie cen i miękkie ograniczanie budżetu (to pojęcie Kornaiego, podobnie jak „gospodarka niedoboru”, weszły na stałe do światowej literatury fachowej); przewaga koordynacji biurokracyjnej w funkcjonowaniu państwa i gospodarki; wiodąca rola gospodarki państwowej i quasipaństwowej; niepodzielna władza partii komunistycznej oraz obowiązująca ideologia państwowa.

Spójrzmy na pomaoistowskie, reformatorskie Chiny z tej właśnie, „kornaiowskiej” perspektywy. Chiny po rozpoczęciu reform, tzn. po 1978 roku, jak powszechnie wiadomo, kroczą drogą szybkiego wzrostu gospodarczego sięgającego zwykle liczb dwucyfrowych, co jest ewenementem na skalę światową. Wzrost jest więc nadal jak najbardziej „wymuszany”, jak chce Kornai, tyle że to wymuszanie jest już zupełnie innego rodzaju niż poprzednio. To nie (tylko) państwo, jego wola i widzimi się, lecz (także) rynek dyktuje warunki rozwoju.

A ponieważ wzrost ten odnotowuje się w państwie liczącym ponad miliard mieszkańców, jest to czynnik nie tylko wewnątrzchiński, lecz mający globalny, strategiczny wymiar. Można na ten temat toczyć spory, jednak nie można kwestionować faktu, że Chiny wyrosły w minionych trzech dekadach reform na jedno z ważniejszych (drugie – po USA?, trzecie? czy czwarte? – oto sedno tego sporu)

mocarstw gospodarczych na świecie. Co więcej, jak przewidują różne szacowne instytucje, od Goldman Sachs po Bank Światowy, nie mówiąc już o chińskich specjalistach, do których jeszcze wrócimy, w przypadku utrzymania się notowanych ostatnio trendów, już w 2020 r. Chiny mogą wyprzedzić Stany Zjednoczone i stać się pierwszą gospodarką świata, oczywiście licząc w liczbach absolutnych, a nie *per capita*. Jeśli więc, jak na razie, z własnej ścieżki szybkiego wzrostu Chiny nie zbaczą – ich gospodarcze znaczenie stale będzie rosło. Tego faktu nie podważa nikt. A percepcja ta umocniła się silnie po wielkim kryzysie na światowych rynkach w latach 2008–2009, z którego Chiny, jak wszystko na to wskazuje, wyszły obronną ręką i nadal znajdują się w fazie wysokiego wzrostu.

Ten wzrost opiera się na zmianie mechanizmów i otwartym przejściu na gospodarkę rynkową. Przy czym z tym „rynkem” trzeba, jak to zwykle w Chinach, postępować ostrożnie. Formalnie pojęcie rynku, a raczej „socjalistycznej gospodarki rynkowej” (co w naszych uszach brzmi jak kwadratura koła), wprowadzono do Konstytucji po jej nowelizacji w marcu 1993 roku, a więc dopiero w piętnaście lat po zainicjowaniu programu reform. Funkcjonowanie reguł rynkowych, chociaż było wtórne w stosunku do inicjatyw władz (bo cały chiński program reform, przecież nie tożsamy z gospodarką, jest sterowany odgórnie, a nie przez mechanizmy rynkowe), bardzo szybko odsunęło w cień niedobory w życiu wewnętrznym (u schyłku epoki Mao żywność, opał, a nawet odzież racjonowano na kartki), a autarkię w handlu zagranicznym. Gospodarka chińska w sensie kontaktów ze światem i uzależnienia od rynków obcych jest dzisiaj o wiele bardziej otwarta od – przez tyle dziesięcioleci stawianej za wzór – gospodarki japońskiej. Podczas gdy udział eksportu w PKB Japonii wynosi 31 proc., w Indiach – 40, Rosji – 56, a Wielkiej Brytanii – 64, to w znacznie przeciętniejszych Chinach udział handlu (eksport i import) sięga ostatnio 75 proc. PKB (2008), podczas gdy u progu reform było to zaledwie 9,8 procenta.

Walka o pomaoistowskie oblicze Chin rozegrała się właśnie, jak dotąd, przede wszystkim na polu walki o rynek. Nic dziwnego.

Przecież w ramach klasycznego modelu komunistycznego, by zacytować raz jeszcze Andrzeja Walickiego: „Rynek uznany został za... ucieleśnienie ślepych, niekontrolowanych sił natury, krzyżujących ludzkie plany i czyniących ludzi niewolnikami ich własnych wytworów. Nie ma żadnej przesady w twierdzeniu, że z punktu widzenia marksistowskiego komunizmu paradygmat rynku był paradygmatem radykalnej dehumanizacji człowieka, zniewolenia gatunkowej (wspólnotowej) istoty człowieczeństwa przez rozbitcie ludzkości na izolowane i egoistyczne jednostki, powiązane siecią wyobcowanych stosunków ekonomicznych”. Inaczej i prościej ujmując, z punktu widzenia marksistowskiej – i maoistowskiej – ortodoksji rynek to grabież, tortura i śmierć (nie tylko proletariuszy).

Przywódcy chińscy epoki „reform” i „otwarcia na świat” musieli się dużo nagłowić i natrudzić, by ponownie odwrócić kota ogonem i wstąpić ponownie w tę „zdehumanizowaną” sferę. Mieli łatwiej o tyle, że – jak dowodziły sondaże – nawet ten przywracany stopniowo i powolnie, ale konsekwentnie, rynek, cieszył się wysokim społecznym poparciem. Robiono to jednak ostrożnie, na zaproponowanej przez przekonanego reformatora – premiera w latach 80. – Zhao Ziyanga zasadzie „przechodzić na drugi brzeg rzeki czując kamienie pod stopami” (*wu zhe shitou guo he*).

Kiedyś mówiono, że porzucanie rynku w państwach komunistycznych było jak gotowanie zupy rybnej ze świeżo złowionych ryb. Ci, co rynek przywracali, stanęli przed zadaniem odwrotnym i o wiele trudniejszym: jak z zupy rybnej przyrządzić świeżą rybę? Wśród specjalistów panuje wyjątkowo duża zgodność co do tego, że chińscy reformatorzy po 1978 roku nie mieli jednego wielkiego, strategicznego planu, szukali nieco po omacku, eksperymentowali, no i w efekcie tworzyli hybrydy o dziwnie brzmiących (na Zachodzie) nazwach, jak „socjalizm o chińskiej specyfice” czy „społeczna gospodarka rynkowa”. Ważne jest jednak to, że nie stracili azymutu – konsekwentnie szli z powrotem do rynku.

Naturalnie, wraz z rynkiem, ceny przestały być sztucznie, odgórnie i biurokratycznie ustalane, a pieniądź nabrał rzeczywistej wartości. „Miękkie ograniczenia budżetowe”, czyli polityczne, a nie

ekonomiczne z natury kształtowanie budżetu też odeszło do la-musa. Innymi słowy: w sensie gospodarczym Chiny w minionych trzech dekadach „reform” (*gaige*) oraz „otwarcia na świat” (*Kai-fang*), stanowiących dwa podstawowe pojęcia określające obecną rzeczywistość, niemal całkowicie odzęgały się od metod i form gospodarowania charakteryzujących gospodarkę socjalistyczną.

W wyniku niezwykle skomplikowanego i żmudnego procesu Chińczycy doszli nawet do zagwarantowania praw własności, w tym indywidualnych, co z punktu widzenia maoistowskiej ortodoksji jest totalną herezją. Tam, gdzie prywatna własność, tam koniec komunizmu. Albowiem, jak to ujął Andrzej Walicki, „w koncepcji Marksowskiej socjalizm równoznaczny był (nawet w swej początkowej fazie) z całkowitym zniesieniem gospodarki rynkowej”. Oczywiście, dokładnie tak samo było w przypadku ortodoksyjnego maoizmu, w ramach którego pełnej komunizacji – gospodarki i życia społecznego – dokonano w końcu lat 50. ubiegłego stulecia. Wzniesiono wówczas „trzy czerwone sztandary”, a jednym z nich były „komuny ludowe” (*renmin gongshe*) mające – w oczach władz – stanowić prawdziwy dowód wkraczania do komunistycznego Eldorado, czego dowodem było propagowane wówczas hasło (przypisywane szefowi tamtejszej bezpieki, Kang Shengowi): „Komunizm to raj, a komuny ludowe to most do niego wiodący”. W praktyce były one natomiast dowodem całkowitego pozbawienia praw jednostek, ubezwłasnowolnienia ich, skoszarowania i wręcz militaryzacji życia gospodarczego.

Mimowolnie dowodził tego na przykład centralny organ partyjny *Renmin Ribao* (Dziennik Ludowy), pisząc w październiku 1958 r., czyli wtedy, gdy komuny wprowadzano: „Niektóre z «komun ludowych» działają na zasadzie «siedmiu gwarancji», a niektóre na zasadzie «dziesięciu gwarancji» na mocy których członkowie komun mają zagwarantowane: posiłki, odzienie, zakwaterowanie, naukę, opiekę zdrowotną, pochówek, postrzyżyny, pokazy teatralne, pieniądze na ogrzewanie oraz na ślub. Ten system... zaspokaja potrzeby i prowadzi do dalszego rozwoju (jednostki) na drodze ku pozbyciu się (przez nie) «egoizmu» W tym sensie jest to przedsię-

wzięcie ze sfery komunizmu i dowód jego należytego szerzenia się”. Wszystko miało należeć do kolektywu – od bielizny po myśli.

Pożegnanie z państwową własnością, ostoją komunizmu, wcale nie było łatwe – i nie jest bynajmniej zakończone. Poważne kontrowersje w tej sferze nadal istnieją. Największym przedmiotem sporów jest ciągle utrzymywanie się, dość istotnego, sektora państwowego współistniejącego z działającymi całkowicie na zasadach rynkowych małymi i średnimi przedsiębiorstwami. W tym pierwszym, jak przypomina w swym cennym tomie *Understanding and Interpreting Chinese Economic Reform* („Rozumienie i interpretacja chińskiej reformy gospodarczej”) ceniony ekspert, prof. Wu Jing-lian, ciągle istnieje pokusa powrotu do cesarskich jeszcze tradycji, kiedy to „cesarz i jego urzędnicy mieli ogromny wpływ na dystrybucję środków. Stąd też w tradycyjnej chińskiej kulturze biznesowej podstawą sukcesu były standardowe praktyki, na mocy których urzędnicy rządowi dokonywali transakcji, łącząc wpływy i pieniądze”. Stąd, jakże uzasadniona, obawa przed powrotem „handlowców odzianych w szaty wysokich rangą urzędników”.

Klasyczny model maoistowski, choć nie był czysto marksistowsko-leninowski, w wymiarze gospodarczym wyglądał dokładnie tak, jak opisywał Andrzej Walicki: „Była to w istocie wizja społeczeństwa totalnie administrowanego; społeczeństwa, w którym «niewidzialna ręka rynku» zastąpiona będzie «widzialną ręką» władz publicznych i racjonalnym porządkiem jednolitej, systematycznej organizacji”. Dla chińskich reformatorów podstawowy problem w zmaganiach z maoizmem polegał właśnie na podważaniu „porządku” i „organizacji”, jakie klasyczny maoizm zaproponował w latach „lewackiego odchylenia”. Zakwestionowali je następcy Mao, a przynajmniej pragmatyczni odszczepieńcy od tego nurtu, a więc Deng, Zhao Ziyang czy Hu Yaobang (pierwszy szef partii okresu reform). Zrobili to świadomie i z premedytacją, ale – zdając sobie sprawę z konsekwencji stąd płynących – „odwracali kota ogonem” ostrożnie i rozłożyli ten proces na etapy.

Dlatego, pomni poprzednich, gorzkich doświadczeń ze schyłkowego okresu maoizmu, obecni władcy w Pekinie dają do zrozumie-

nia, że myślą tak: potrzebna jest niewidzialna ręka rynku, ale jeszcze bardziej potrzebna jest jak najbardziej widzialna ręka państwa, by zaproponować społeczeństwu „harmonijny rozwój” od kilku lat stanowiący hasło – zakłęcie prezydenta Hu Jintao i premiera Wen Jiabao, obecnych przywódców. Nadal istnieje więc pewnego rodzaju dwoistość, współistnieją ze sobą sektor państwowy z dużą dozą interwencjonizmu i sektor prywatny, „pływający na otwartych wodach”. Nie trzeba chyba dodawać, że to niemal proste zaproszenie do korupcji i nie dziwota, że co pewien czas w trakcie reform wybuchają kolejne skandale, a władza wszczyna kolejną antykorupcyjną kampanię, o czym będzie tu jeszcze niejednokrotnie mowa.

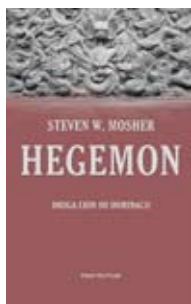
W trakcie bezprecedensowych reform, zamiast starych problemów, pojawiły się zupełnie nowe, albo też stare, tyle że w nowym opakowaniu, jak chociażby ogromne bezrobocie, związane z uwolnieniem siły roboczej i odrzuceniem poprzedniej filozofii „żelaznej miski ryżu”, czyli dożywotniego, bezpiecznego zatrudnienia. „Komuny ludowe” stopniowo, ale zdecydowanie usunięto z życia już u zarania reform, w początkach lat 80. ubiegłego stulecia. Przestały obowiązywać reguły państwa socjalnego, zastąpionego przez żelazne reguły rynku i ostrą, bezpardonową konkurencję zmuszającą ludzi do mobilności i stałego wysiłku. Czasami odnosi się wrażenie, że właśnie te czynniki – wysiłek i walka – to jedyne slogany Mao, które przetrwały i mają nie mniejsze, choć odmienne w charakterze znaczenie niż wcześniej. Wszystkie inne, włącznie z tak podstawowymi, jak walka z „indywidualizmem” czy „ekonomizmem”, a więc bodźcami ekonomicznymi, zostały wywrócone do góry nogami.

Jest dokładnie odwrotnie, niż było. Mao macha dłonią z pomników, patrzy z portretu zawieszony w bramie Tiananmen, ale wzrok ma pusty, a jego gesty – i słowa – straciły swą magię; stracił ideologiczny żar, a wiara weń się wypaliła. Dla dzisiejszej młodzieży, niepamiętającej jego czasów, jest już raczej maskotką zawieszoną na szybie taksówki czy machającym dłonią wisiorkiem, takim Tomciem Paluchem umiejscowionym jako wskazówka w sprzedawanych na bazarach budzikach i zegarkach. Strach się ulotnił, „moc struchlała”.

Jedni twierdzą, że Chiny są nazbyt liberalne, drudzy, wprost przeciwnie, że nazbyt interwencjonistyczne. Jedni mówią z pełnym przekonaniem, że są komunistyczne, drudzy z nie mniejszą werwą twierdzą, że są kapitalistyczne. Przeważnie, że zazwyczaj obie strony sporu mają sporo racji. Chyba więc przyjdzie nam się pogodzić z takim stanem rzeczy, kiedy to jedni widzą w obecnych Chinach rozkoszną pandę, drudzy podziwiają wyniosłego feniksa, a jeszcze inni są przestraszeni, bo traktują je niczym groźnego, krwiożerczego smoka (to ostatnie spojrzenie zdaje się dominować u nas). Proszę o tym pamiętać, czytając te strony. Chiny, ich rozmiar i stopień skomplikowania uczą pokory, relatywizmu, synkretyzmu pojęć i znaczeń. To dobra szkoła, bo inna od u nas ostatnio obowiązujących. My chętnie byśmy swoje poglądy, wartości i przekonania narzucali, Chińczycy przypominają nam o tym, nie pierwszy raz w swych długich dziejach, że prawda raz przez kogoś przyjęta wcale nie musi być uniwersalna, a na każdą kwestię, tym bardziej tę skomplikowaną, można, a chyba nawet należy, patrzeć z różnych stron

Bogdan Góralczyk

Polecamy także:



Hegemon. Droga Chin do dominacji  
Steven W. Mosher

Patronat  
MDI Strategic Solutions



ISBN 978-83-929317-1-3

cena 59,99 zł

[www.sprawypolityczne.pl](http://www.sprawypolityczne.pl)



9 788392 931713